



Z prof. Andrzejem Nowakiem, historykiem  
rozmawia Krzysztof Mastoń

# Polskość znienawidzona





**KRZYSZTOF MASŁOŃ:** Redefiniowanie polskości postępuje w zawrotnym tempie. W ślad za byłym premierem i niedoszłym prezydentem, dla którego „polskość to nienormalność”; także naukowcy, jak choćby antropolog Kacper Poblócki w „Chamstwie”; ronią łzy nad naszą ojczyzną-pańszczyzną, a Adam Leszczyński, historyk i socjolog, swoją „Ludową historię Polski” przedstawia jako dzieje wyzysku i oporu. Oczywiście wyzysku chłopów, ciemżonych, poniżanych, bitych przez warstwę krwiożerczych panów – czytaj: szlachtę. Wygląda na to, że wszystkie podręczniki historii, no może poza stalinowskimi, oddać trzeba będzie na śmietnik. Pan profesor tymczasem pracuje nad następnymi tomami „Dziejów Polski”, utrzymanymi w zgoła odmiennej poetyce. Nie szkoda wysiłku?

**PROF. ANDRZEJ NOWAK:** Najpierw trzeba powiedzieć, skąd wzięły się te pomysły redefinicji polskości, w takim właśnie duchu. Otóż nie da się zbudować wspólnoty wokół tego, co nas poniża, ale wokół nienawiści do innych, do wspólnoty, którą chcemy zniszczyć – owszem, można stworzyć bardzo silną identyfikację grupową. Mechanizm ten znakomicie opisał Dostojewski w „Biesach”. Zniszczyć jedną historyczną wspólnotę, by skonstruować inną – to sprawa nienowa. I z jej przykładem mamy właśnie do czynienia. Sięgnięto teraz do starego zasobu nienawiści klasowej, nawiązującej do myśli mistrza z Trewiru (choć nawet Marks nie był tu pierwszy). Teraz, po liftingu, zjawisko to usiłuje zmienić naszą historię w duchu Black Lives Matter czy Projektu 1619, zupełnego przemodelowania myśli o Stanach Zjednoczonych i ich historii jako wyłącznie dziejów wyzysku czarnych niewolników. W Ameryce na klasowość nakładają się rasizm i genderyzm – i mamy trzy w jednym. W polskiej odmianie tego zjawiska nie znajdujemy niczego oryginalnego, a próba przeniesienia ideologii nienawiści na nasz grunt prowadzi do ryzykownych paradoksów. Na przykład przedstawianie chłopów pańszczyźnianych w Polsce jako Murzynów jest historycznie chybione, co zresztą widać w „Ludowej historii Polski” prof. Adama Leszczyńskiego, spośród wielu podobnych książek najlepiej udającej pracę historyczną, bo przynajmniej co jakiś czas nawiązuje do literatury historycznej i do faktów. Ale jednak nawet ten autor ma kłopot, bo jakoś na przestrzeni dziejów nie dostrzegamy tyłu buntów chłopskich, powstań i rebelii, ile powinno być – skoro było tysiąc lat ucisku. Są wydarzenia lat 1031–1038, przy czym nie wiemy, czy to, co się działo wtedy, to „ludowe powstanie” czy może „reakcja po-

gańska”. Potem mamy dopiero powstanie Chmielnickiego, które też nie wiadomo, czy interpretować bardziej jako społeczny bunt czy ruch narodowy (kozacki/ukraiński). Z kolei kłopot z kontynuującą tę tradycję koliszczyzną, która sparaliżowała konfederację barską, polega na tym, że sam Karol Marks, twórca ideologii klasowej nienawiści, identyfikował ją jako carską intrygę i wyraz ekspansywnej polityki Katarzyny II. I dopiero w końcu mamy „porządny” odruch klasowej nienawiści – rabację galicyjską w 1846 r. Trochę tego jednak mało.

#### Jakoś omijały nas wojny chłopskie...

A przecież miały one miejsce w Rosji, Niemczech, na Węgrzech, we Francji i w Hiszpanii. Nie pisze prof. Leszczyński o masowych ucieczkach chłopów rosyjskich w końcu XVII i w XVIII w., nie gdzie indziej jak do Rzeczypospolitej, do tych „straszalnych polskich magnatów”. Oczywiście los chłopski nie był lekki, ale sytuacja polskiego chłopca na pewno nie była najgorsza na kontynencie europejskim. Bo i skąd by się wzięło masowe osadnictwo chłopów holenderskich czy w ogóle zachodnioeuropejskich, tworzących silne gospodarstwa, m.in. na Pomorzu, w XVI, XVII w.? Nikt ich tutaj przymusowo nie ściągał, to nie byli niewolnicy – jak ci skuci kajdanami przywiezieni z Afryki do Ameryki. Byli ludźmi wolnymi, którzy jechali do Rzeczypospolitej po lepszy los. Wiem, że nie można w ten sposób uogólniać doli chłopca na naszych ziemiach, bo nie była to sielanka, wyzysk miał miejsce, tyle że oceniając jego stopień, trzeba rzucić całe zjawisko na podobne tło w innych krajach i dopiero na tym tle można analizować sytuację chłopca w Polsce. I zrobili to, dość dawno temu, specjaliści zajmujący się historią chłopów polskich, tacy jak profesorowie Jerzy Topolski z Poznania czy Andrzej Wyczański z Warszawy.

Chciałbym również zwrócić uwagę na pracę, którą wprowadzie prof. Leszczyński wymienia w bibliografii, jednak nie cytuję jej ani razu, a jest niesłychanie ciekawa. Chodzi mi o „Homo movens. Mobilność chłopów w mikroregionie krakowskim w XVI–XVIII wieku” Mateusza Wyżgi, gdzie, dokonując drobiazgowej analizy źródeł, autor wykazał, jakim mitem jest powszechnie powtarzany slogan o przywiązaniu chłopca do ziemi. Sytuacja chłopów pogorszyła się niewątpliwie dopiero w połowie XVII w. pod wpływem czynników zewnętrznych, czyli najazdów

moskiewskich, szwedzkich i siedmiogrodzkich, tzw. potopu. Dramatycznie załamał się wtedy poziom życia nie tylko chłopów, lecz także szlachty w całej jej masie, z wyjątkiem naprawdę nielicznych najbogatszych magnatów. Ale żeby tę sytuację ocenić, trzeba by przyznać, że niekiedy zło przychodzi z zewnątrz, z zewnętrznej agresji na nasz dom, który jednak w tym sensie był wspólny – dla szlachty i chłopów. I że to nie wspólnota polska wytwarzała jakiś szczególny rodzaj zła, że życie w Rzeczypospolitej wcale nie równało się tylko niewoli i wyzyskowi. Swoją drogą, z jakichś powodów w tym samym XVII w. powstało korzystające ze stereotypu powiedzenie, że Polska jest rajem dla Żydów i piekłem dla chłopów. To jednak tylko (i aż) stereotyp.

**Adam Leszczyński stawia zarzut, że lud w pańskiej syntezie historii Polski „pojawia się sporadycznie i stanowi przede wszystkim tło wydarzeń, podobne jak zagadnienia gospodarcze. »Dzieje Polski« to dzieje katolickiej (przede wszystkim) elity kraju, prowadzącej naród polski poprzez dzieje”. Osobiście nie tęsknię wcale za historią gospodarczą, zwłaszcza tą z dawnych wieków, bo swego czasu wykłady o trójpolówce skutecznie zniechęciły mnie do nauki historii, podobnie jak wymazywanie wszelkich informacji, a pozytywnych już szczególnie, o wpływie Kościoła katolickiego na bieg wydarzeń nad Wisłą. Ale czy rzeczywiście nie poświęcił pan masom ludowym, że tak się wyrażę, należytej uwagi?**

Historia Polski rozumiana jest przeze mnie jako historia pewnej wspólnoty, tworzącej się poprzez wieki i u swego zarania zbiegającej się z okrzepnięciem państwa Piastów, gdy w 1000 r. po raz pierwszy pojawia się słowo „Polonia” (w spisującym w Rzymie żywocie św. Wojciecha) i zaczyna ono coś znaczyć. Na początki polskości, jej kulturowego określenia, wywarła największy wpływ niewielka garstka ludzi: drużyna księcia i ludzie oświeceni, budujący pamięć wspólnoty, czyli najczęściej księża, prowadzący kancelarię księżęcą, zapisujący roczniki i kroniki „sławnego Królestwa Polskiego”. Stopniowo wytwarzało się w tej historii pojęcie wspólnoty szerszej, w której chłopcy – w pewnych sytuacjach – czują się jednak, jak już powiedziałem, mieszkańcami jednej ojczyzny, kraju, miejsca – razem z rycerstwem. Tak działo się właśnie w sytuacji najazdów zewnętrznych. Na sygnały tego zjawiska zwrócił uwagę prof. Karol Modzelew-

ski, najwybitniejszy historyk chłopów epoki wczesnopiastowskiej. Ludzie się łączą przeciw obcym, tym, którzy mówią w nieznanym języku i wkraczają w nasze granice ze złymi zamiarami. Niech sobie to brzmi jak herezja, ale taki jest naturalny instynkt antropologiczny, który i w naszych dziejach miał swoje znaczenie. Kiedy słyszymy wokół siebie ludzi, których nie rozumiemy, których włamują się do naszego domu, zajmują nasze zbiory, gwałcą kobiety – to jednoczymy się i stawiamy opór najeźdźcy...

Głównym przedmiotem moich „Dziejów Polski” jest polskość, jej rozumienie i budowanie przez ludzi, którzy do niej dorastają: do kulturowego ideału polskości rozwijającego się od X w., a zaszczipionego przez chrześcijaństwo. I to nie moja wina, że w tych czterech tomach „Dziejów Polski”, które się ukazały, dopiero w tomie czwartym pojawia się jakaś kontrpropozycja dla katolicyzacji, bo wcześniej nie było na

go przed tymi, którzy w Rzeczypospolitej wskazywaliby tylko zło i ucisk mniejszości przez katolików.

**Charakterystyczne, że tym badaczom dziejów, którzy akcentują ekspansywność niemiecką, stawia się natychmiast zarzut endeckości. Pan też, jakkolwiek śmieśniej to brzmi w kontekście pańskich prac o Rosji, spotkał się z nim.**

Ten zarzut jest świadomie nieuczciwy albo wynika z nieuctwa. Kiedy np. przytaczam, jak czeski kronikarz Kosmas z Pragi odkrywa specyficzną cechę narodową i pisze o „przyrodzonej pysze niemieckiej”, jest to odwołanie się do źródła, a nie wyraz endeckiej fobii. Staram się, rzeczywiście, walczyć, nie ja jeden zresztą, z niezwykle prymitywnym uproszczeniem, wywodzącym się ze szkoły Ernesta Gellnera i Benedicta Andersona, w myśl którego naród jest wytworem modernizmu, nowoczesności, pewnych wymogów cywilizacyjno-ekonomicznych, które wykorzystuje ideolo-

polityczne, debata w języku narodowym, w drukach ulotnych i w czasopiśmie, jak w Polsce. W okresie Sejmu Wielkiego brało w niej udział ok. 200 tys. ludzi.

W Rosji Katarzyny II ukazywało się wtedy, rok w rok, dwa razy mniej książek niż w Rzeczypospolitej, a stosunek ludności obu krajów wynosił pięć do jednego, oczywiście na korzyść Rosji. Tymczasem to Katarzyna II uchodzi na Zachodzie za niezwykle światłą władczynię, pionierkę oświecenia i kultury, a Polskę postrzega się jako ciemnogrod... Czyli setki tysięcy ludzi uczestniczą w „wyobrażonej wspólnotce”, którą nazywają Polską (tak to określa Konstytucja 3 maja, w której – dodajmy – znika niemal całkowicie termin „Rzeczpospolita”). To właśnie fakt, że polski naród już przed wiekiem XIX stworzył tak bogatą w tradycję myślową, symbole kulturowe i emocje wspólnotę, sprawił, że przetrwał i rozwinął się w wieku rozbiorów, także jeśli chodzi o warstwę chłopską. W naszej wspólnotce narodowej niezwykle znaczące są takie postaci, jak Jan Matejko, Aleksander Brückner, ojciec Fryderyka Chopina Mikołaj czy Wincenty Pol, przybysze z Czech, Moraw, Niemiec, którzy poprzez wybór polskości potwierdzali jej siłę i atrakcyjność. Ona nie wzięła się znikąd – tylko z rozwoju historycznego, którego wczesne etapy śledzę w pierwszych tomach „Dziejów Polski”. To mnie interesuje, a nie wydumana dekonstrukcja polskości, która nie tylko opiera się na strasznym redukcjonizmie historycznym (tylko ucisk!), lecz także przynosi niszczące skutki dla naszej wspólnoty tu i teraz, w wieku XXI.

## Dekonstrukcja polskości opiera się na strasznym redukcjonizmie historycznym, przynosi też niszczące skutki dla naszej wspólnoty

tych ziemiach chrześcijaństwa w innej postaci. Pogląd, że pierwsze tutaj było prawosławie, wspierany przez cara Mikołaja I i jego propagandystów, został już dawno w historiografii zarzucony. Chrześcijaństwo przez 500 lat istniało tu wyłącznie w wersji katolickiej. Nie było protestantyzmu, o którym piszę bynajmniej nie w czarnych barwach, przez pryzmat mojej katolickiej tożsamości religijnej, tylko podkreślając ogromne zasługi kalwińskiej szlachty dla rozwoju kultury i języka polskiego. Tak jak w tej chwili przeze mnie pisanym tomie piątym nie utożsamiam prawosławia Rzeczypospolitej z moskiewską agenturą, ponieważ między XV a XVII w. nic takiego nie istniało. Później, rzeczywiście, carska dyplomacja, propaganda i to, co nazywamy dzisiaj służbami specjalnymi, manipulowały prawosławiem do swoich celów. Ale w wojnach Batorego z Moskwą najbardziej zasłużyli się dowódcy prawosławni, jak książę Konstanty Ostrogski, Janusz Zbaraski czy Filon Kmita, nie gorsi wyznawcy prawosławia od Iwana Groźnego, tyle że broniący polskiego domu przed wrogami. Dzisiaj pewnie broniliby

gia nacjonalizmu. W myśl tej dominującej dziś powszechnie „szkoły” możemy o narodzie i świadomości narodowej mówić dopiero od wieku XIX. Ten tępy gellner-andersonizm kategorycznie odrzucali m.in. np. Roman Szporluk czy prof. Andrzej Walicki – w swoich pracach naukowych, na pewno ważniejszych od jego publicystyki na tematy PRL. Kapatelną historię rozwoju niemieckiej myśli narodowej w późnych wiekach średnich napisał szwajcarski historyk Caspar Hirschi, angielskiej – Adrian Hastings. Niewątpliwie narody powstają w różnym czasie i rozwijają się w bardzo różnym tempie, niektóre dopiero w wieku XIX czy XX, jak choćby Belgowie, bo tego narodu przed 1830 r. nie było, ale z drugiej strony mamy Żydów czy Ormian, których dzieje liczymy w tysiącach lat. A są narody mające niemal dokładnie tysiącletnią historię i do nich należą Polacy, Czesi czy Węgrzy.

W wieku XVIII w żadnym innym kraju europejskim na wschód od Francji – i mówię to z pełną świadomością, a więc wykluczając również Niemców – nie odbywała się tak masowa debata na tematy

**Niedawny artykuł w miesięczniku „WPiS” kończy pan profesor przypomnieniem wybitnego literaturoznawcy, Stanisława Pigońa, człowieka z ludu właśnie, który sto lat temu przestrzegał: „Dziś może więcej niż kiedykolwiek żyjemy w obowiązku, w ciągłym pogotowiu [...]. Poprzez wszystkie dziedziny życia, przez naukę, literaturę, sztukę, przez politykę, wychodźstwo, handel idzie ku nam wrogi, mocny ciąg łapczywej obczyzny i wypiera nasze rodzime pierwiastki, walory. Dokonywa się z wolna najstrasniejsze wywłaszczanie z ducha, wytracanie niepodległości wewnętrznej”. Niepokojąco aktualnie brzmią te słowa.**

Stanisław Pigoń, ten chłop z Kombroni koło Pilzna, jak setki tysięcy chłopów z jego pokolenia wybrał polskość i tej polskości bronił, także czynnie, w wojnie z bolszewikami. Był to wybór Polski przez kulturę, polskości jako awansu

■ kulturowego i społecznego. To jest to doświadczenie, przekazane mi również przez mojego ojca, inżyniera w Hucie Lenina, którego dziadek był jeszcze chłopem pańszczyźnianym. Rodzina pochodziła z Podkarpacia, dokładnie spod Rzeszowa. Dlatego dla mnie kwestie chłopskie są ważne, traktuję je bardzo osobiście. I dlatego wiem, że doświadczenie Stanisława Pigonia nie jest jednostkowym przykładem profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, ale tych wszystkich chłopów, którzy do polskości dorosli i z dumą do niej przylgnęli. I obronili ją, przynajmniej dwukrotnie: w roku 1920 i w czasie drugiej wojny światowej, i po niej, gdy po odcięciu przez Niemców i Sowietów głów polskim elitom to także m.in. chłopscy synowie i córki odtworzyli te elity (a nie tylko zasilali, zgodnie ze stereotypem, kadry ORMO czy PZPR), wbrew komunistom doprowadzając do zbudowania Solidarności: przecież większość robotników Sierpnia '80 pochodziła ze wsi... Dziś my, potomkowie chłopów, cieszymy się, że możemy współuczestniczyć w kulturze, którą niegdyś tworzyli Kochanowski, Rej, Radziwiłł „Sierotka” czy Wacław Potocki, że na naszą skromną skalę bierzemy w niej udział i przekazujemy ją następnym pokoleniom. To jest najszczytniejsze zadanie, które mamy do zrealizowania tu, na ziemi.

**Przez lata osiedlali się u nas przybysze z różnych krajów i bynajmniej nie tylko Żydzi, bo choćby w podwarszawskiej wiosce, w której od kilkunastu lat mieszkam, zachowały się jeszcze groby tych „Oleńców”, których pan wspominał. Ale w takim razie co takiego się stało, że nagle w Galicji, w powiecie tarnowskim, wybuchł w 1846 r., i to tak krwawy, bunt Jakuba Szeli?**

Przed wszystkim postawiłbym pytanie: Dlaczego właśnie tam i tylko tam? Czyżby w Kongresówce żyło się dużo lepiej niż w Galicji? Tam też pańszczyzna nie była jeszcze zniesiona. A w końcu dlaczego nie napadano na dwory we wschodniej Galicji, tylko w powiatach tarnowskim i jasielskim? Dopiero wejście na poziom mikrohistorii pozwala pokusić się o odpowiedź na te kwestie. I dzięki temu można wyjść poza toporny stereotyp chłopskiego wyzysku i odwetu, wziąć pod uwagę, obok pretensji do „polskiego pana” i wiary w „dobrego cesarza” w Wiedniu, także bezpośrednią przyczynę: katastrofę naturalną, która dotknęła w latach 1844–1845 dokładnie ten rejon,

gdzie doszło do rebelii. Powódź zalała wtedy ponad 500 miejscowości zamieszkiwanych przez 300 tys. ludzi. Utracili oni dorobek kilku pokoleń i nawet austriackie władze udzieliły powodzianom pomocy, choć była to, rzecz jasna, kropla w morzu potrzeb. Co w takiej sytuacji robił zwykle chłop? Topił smutek w gorzałce. Tymczasem kilka miesięcy po powodzi dotarł do Galicji ruch trzeźwościowy. To był ruch zapoczątkowany w Stanach Zjednoczonych, który na ziemiach polskich pojawił się z kolejną falą, po stoczeniu walki z alkoholem w Szkocji i Irlandii, a potem już na kontynencie europejskim. Jakie były jego skutki? Ruch ten, zainicjowany przez Kościół katolicki, istotnie zatrzwożony problemem alkoholizmu, największy sukces odniósł właśnie na terenach dotkniętych klęską żywiołową. W ciągu kilku miesięcy blisko pół miliona ludzi w diecezji tarnowskiej ślubowało przed ołtarzem całkowiłą, dożywnotną abstynencję, a 300 tys. ograniczenie spożycia alkoholu. Dla porównania: w sąsiedniej diecezji przemyskiej uczyniło tak 150 tys. ludzi, czyli znacznie mniej. W tej sytuacji na stały i narastający konflikt społeczny nałożyły się dramatyczne zubożenie mieszkańców oraz masowe napięcie setek tysięcy chłopów z dnia na dzień pozbawionych jedyne go znanego im, jak dziś byśmy powiedzieli, antydepresantu.

Kto na tym odprzysięganiu się od picia wódki przez chłopów najbardziej stracił? Karczmarze żydowscy, którzy utracili zarobki, jak również część szlachty, która te karczmy im dzierżawiła. Karczmarzy, bardzo aktywnie występujących przeciwko ruchowi trzeźwościowemu, można nawet zrozumieć, bo stanęli na krawędzi bankructwa. I tu mamy do czynienia ze zjawiskiem negującym tezę, na których opiera się współczesna szkoła historyków polskiego antysemityzmu, przypisująca polskim chłopom krwiożerczy instynkt mordowania Żydów, kiedy tylko jest okazja. Jak to pogodzić z tym, że w rabacji galicyjskiej na minimum 1,3 tys. (w rzeczywistości zapewne ok. 2 tys.) ofiar śmierci poniosło dwóch Żydów, w tym jeden atakując wraz z chłopami dwór, a drugi w obronie szlacheckiego folwarku? Choć na tarnowskiej wsi Żydów było przecież nie jeden promil, tylko kilka procent. Dlaczego nie doszło przy okazji ówczesnej masakry do „krwawego teatru polskiego antysemityzmu”? Odpowiedzi trzeba szukać w historii społecznej, gospodarczej,

politycznej – nie tylko w stereotypach i fantazmatach, które pracownicy budują niektórzy badacze, z góry wiedzący, że wszystkiemu zawsze winne są polskość i katolicyzm.

**Mitem okazała się wersja, jakoby władze austriackie płaciły chłopom za zamordowanych szlachciców...**

Nieprawdą było, jakoby szef administracji austriackiej w Tarnowie, Joseph Breinl, umówił się z Szelą, że będzie płacił 5 talarów za żywego, a 10 za zmarłego polskiego powstańca. Niemniej jednak urzędnicy Breinla dawali chłopom jakieś drobne sumy, a przede wszystkim nie ścigali sprawców zbrodni. Tu warto zauważyć, że do podobnych wydarzeń nie doszło w Rzeczypospolitej Krakowskiej, która zresztą w tym samym 1846 r. przestała istnieć po wcieleniu do Austrii. Czyli nawet ograniczona obszarowo ta namiastka polskiej państwowości osłabiła skutek rzeczywistego antagonizmu społecznego na linii dwór–wieś. W Rzeczypospolitej Krakowskiej chłopci zostali wcześniej uwolnieni od pańszczyzny i oczyszczani. Dział z „Wesela” Wyspiańskiego, przychodzący do bronowickiej chaty, jest chłopem z powiatu tarnowskiego, nie spod Krakowa.

**Pytam o Jakuba Szelę nieprzypadkowo. Oczywiście Adam Leszczyński wybiela go, jak tylko może, ale bohatera robi z niego też ni z tego, ni z owego wyróżniony nagrodą Nike Radek Rak w swojej mitotwórczej powieści „Baśń o węzowym sercu albo wtóre słowo o Jakobie Szeli”. Kłania się tu historia naszej literatury, tak bardzo sprzęgnięta z wydarzeniami politycznymi, bo przecież tę samą postać idealizował przed niemal wiekiem komunista Bruno Jasiński w „Słowie o Jakobie Szeli”. Jeszcze trochę i wyrzucimy z listy lektur „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego, a w to miejsce wstawimy „Baśń o węzowym sercu...” czy wywodzącą się z tego samego, rzekomo ludowego, pnia naszej historii „Królewskiego syna” Wandy Wasilewskiej, opowiadającego o innym buntowniku, którym był – już w XVII w. – Aleksander Kostka-Napierski. A historii młodzież uczyć się będzie na przemian z książek Leszczyńskiego i podręczników ściśle realizujących wytyczne osławionej Żanny Kormanowej, która 70 lat temu grzmiała: „Historia nieoparta o metodologię marksistowską [...] jest naukowo bezpłodna, nie jest nauką w pełnym tego słowa znaczeniu”.**

To już przerobiliśmy: marksizm, rozumiany jako pewnego rodzaju klucz ideologiczny do „odczarowania” rzeczywistości, a to jest chyba najważniejsza jego funkcja,



może okazać się w końcu jałowym narzędziem, zarówno jeśli chodzi o poznawanie dziejów społecznych, jak i gospodarczych. Dysponujemy dziś zupełnie nowymi narzędziami, zachęcam np. do sięgnięcia po prace białostockiego ośrodka naukowego, których wyniki w wielu punktach korygują obraz stworzony przez marksistowską ideologię. Spójrzmy też na nową falę badań nad historią rodziny i kobiety, niepodporządkowaną kliszom gender. Każdy rzetelny badacz musi dziś zauważyć ogromną rolę chrześcijaństwa, a także Kościoła katolickiego w zmianach relacji kobieta-mężczyzna, dowartościowujących tę pierwszą. W starożytnym Rzymie kobieta była praktycznie własnością mężczyzny, pana domu, pater familiae. To wpływ chrześcijaństwa, i to szczególnie w wersji katolickiej, nie protestanckiej, doprowadził do pojawienia się tzw. kobiecych wolnych rąk do pracy. Nasi neomarksisti są naprawdę zacofani w stosunku do współczesnych badań (zachodnich, a jakże!) nad narodzinami

**skiego, obrazującego nieszczęsną dolę chłopca, którą zamęczali nas poloniści i historycy. Czy następne pokolenia Polaków mają być skazane na pochylanie się nad podobnymi lekturami, w istocie negującymi naszą historię i tradycję, z których mamy powody być dumni?**

Tradycyjny marksizm ani nie jest najważniejszym, ani najgroźniejszym etapem procesu, o którym rozmawiamy. Niezależnie od tego, że staram się polemizować z tego rodzaju obrazem historii, uważam, że oczywiście można i warto badać historię społecznego ucisku chłopów w Polsce: byli oni bowiem grupą upośledzoną i co do tego nie ma wątpliwości. Na pewno jest to pole do rzetelnych studiów. Jednak z niepokojem patrzę, jak wojująca samonienawiść szuka kolejnych ofiar, marginalizowanych bądź uciskanych przez uprzywilejowanego białego mężczyznę, swojego głównego wroga. Następną grupą prześladowaną, ważniejszą nawet od chłopów pańszczyźnianych, są kobiety. I znów: zjawisko to powinno być badane i analizowane, jak długo badań nie zastę-

w naszym przypadku od mistrza Wincentego zwanego Kadłubkiem poprzez Jana Kochanowskiego i Mikołaja Reja mamy ciąg panów, najpierw feudalnych, potem folwarcznych, żyjących z wyzysku chłopów i „marginalizujących” kobiety. Sienkiewicz, a nawet Gombrowicz czy Miłosz też urodzili się we dworze... Jeśli nawet docenimy, że Kochanowski uronił łzę nad swoją Urszulką, to przecież możemy założyć, że z pewnością był strasznym męskim szowinistą. A Rej na pewno źle traktował bydło. Idąc dalej w tym kierunku, ideolodzy samonienawiści odwracają znaczenie kolejnych słów czy wręcz zakazują używania tych, które tworzą podstawowe dzieła naszego kanonu kulturowego. Można zawsze zapytać, co z poezji miała niepiśmienna kobieta w wieku XVI? Namacalnym przykładem, do czego prowadzi takie myślenie, był apel pewnego młodszego pracownika Uniwersytetu Stanforda z wydziału zajmującego się starożytnością, żeby zdekonstruować, a właściwie zlikwidować studia nad historią antyczną, bo Arystoteles był zwolennikiem niewolnictwa i mizoginem, a opierał się na nim cały antyk. Należy więc tę kulturę zreinterpretować i wyrzucić wreszcie na śmietnik, razem z Platonem, Sofoklesem, Horacym i innymi „męskimi szowinistami”. Na ten ruch ideologiczny musimy spojrzeć nie z trwogą, ale z realistyczną oceną jako na poważne zagrożenie naszej kultury. Jeśli dzisiaj słyszę i czytam teksty profeserek i profesorów wydziałów humanistycznych, broniących używania najbardziej rynsztokowego języka w dialogu publicznym i podkreślających prawo do tego rodzaju ekspresji („j...ć Polskę”), to mam wrażenie, że obserwuję marsz przeciwko kulturze, i nie tylko polskiej. Wraz z Kochanowskim, Mickiewiczem i Chopinem zostaną bowiem zniszczeni Wergiliusz, Molière czy Szekspir, któremu nie pomoże nawet przerobienie na modłę LGBT, bo pozostanie białym mężczyzną pochodzącym z serca światowego kolonializmu, czyli z Anglii. Jeśli zwycięży ta antykulturowa rewolucja, która idzie w tej chwili przez najbardziej postępowe uniwersytety amerykańskie i zachodnioeuropejskie, docierając (z wielką pomocą reformy premiera Gowina) do Polski, to dojdziemy do palenia wszystkich ważniejszych książek, które stworzyła cywilizacja „białego człowieka”. A wtedy i dziadzio Marks się nie uchowa.

## Ostatecznie ofiarą dekonstrukcji polskości jest nie tylko nasza wspólnota polityczna, lecz także kultura wysoka

„girl power” i „human capital” w nowożytnej Europie oraz nad miejscem Polski w tej historii. Najnowsze studia takich autorów, jak Joerg Baten, Monica Campestrini czy Mateusz Szołtysek, idą zupełnie w poprzek ideologicznego schematu budowanego w sławionych przez „Gazetę Wyborczą” książkach, które rzekomo mają zdemistyfikować historię Polski. Jeśli ją demistyfikują, to w sposób prymitywny, naśladowczy wobec tego, co już było: za Wandy Wasilewskiej i Aleksandra Korniejczuka. Powieści Radosława Raka nie czytałem, to podobno rodzaj realizmu magicznego, więc się nie wypowiadam. Jasieński zaś i Wasilewska byli raczej ideologami niż pisarzami, choć pisać potrafili i nie zawsze nudzili. Ich mniej uzdolnieni kontynuatorzy rozwijają ten sam prostacki schemat, niemający nic wspólnego – co podkreślałam z całą mocą – z nowymi ustaleniami naukowymi w historii społecznej i gospodarczej.

**W PRL-owskiej szkole obowiązkowa była znajomość „Kordiana i chama” Leona Kruczkow-**

puje ideologia – w tym wypadku gender. „Emancypacja” idzie jednak dalej: trzecim wielkim obiektem prześladowanym przez białego mężczyznę, białego człowieka, a wreszcie przez człowieka w ogóle, jest natura. Poczynając od zwierząt i potężnego nurtu „animals studies”, a skończywszy na przyrodzie nieożywionej. Nie zdziwię się, gdy zaczniemy zajmować się opresją kamyków. Jesteśmy już na progu tej fazy. Znowu trzeba powiedzieć, że zajmowanie się historią relacji człowieka z przyrodą daje szansę na poznanie nowych obszarów rzeczywistości – o ile nie przekształci się w ideologiczną karykaturę o twarzy podstarzałej szwedzkiej uczennicy, która robi groźne miny. I o ile nie będzie prowadziło do zniszczenia – i tu pada kluczowe słowo – naszej, europejskiej kultury. To jest coś najcenniejszego, co zbudował „biały człowiek” i co także zbudowała Polska w swoich dziejach. Otóż ostatecznie ofiarą dekonstrukcji polskości jest nie tylko nasza wspólnota polityczna, lecz także kultura wysoka, którą w całości trzeba byłoby unieważnić. Wszak